Nr. 12. 20. Kwietnia 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O WYSTAWACH.

W dawnych czasach narody nie znały się nawzajem. Nie było dróg żelaznych i bitych, dobrych gościńców — dlatego podróż do dalekich krajów trudną była i mało kto mógł wybrać się w drogę, aby poznać dalekie kraje. Nie było dawnemi czasy gazet i dzienników — książek nie wiele pisano, a i te, które były, sprzedawano drogo.

Nie mogli więc ludzie przez drukowane książki poznać lepiej oddalone ludy.

Wojny tylko zbliżały do siebie obce narody. I Polak z Niemcem albo Moskalem i Turkiem poznawał się wśród huku strzałów armatnich i blasku łun palonych siół i miast. Nawet synowie jednej ojczyzny nie wiedzieli o sobie. Litwin śpiewał tylko o pięknych Laszkach i murowanych dworach Polaków. Rusin opowiadał o rysich skórach Litwinów, o puszczach ich bezdennych, o wężach, które Litwin czcił jak Bogi domowe.

Powoli zmieniły się czasy i ludzie się zmienili.

Oświata i za nią idące bogactwo wzrosły z postępem czasu, usunęły się przeszkody tamujące zbliżenie się wzajemne narodów, i narody zapragnęły poznać się nawzajem.

Naród — jak człowieka poznasz po pracy jego i po

owocach tej pracy. Jeżeli chcesz poznać rolnika — przypatrz się jego gospodarstwu. Jeżeli rola dobrze uprawiona, jeżeli domostwo schludne i bogate, jeżeli w ręku dzieci zobaczysz książeczkę, a starego gospodarza zastaniesz przy pracy lub uczciwej rozrywce, a nie przy próżniactwie lub hulance, to powiesz, że to dobry gospodarz.

Chcesz poznać rzemieślnika — spoglądnij na jego warsztat.

Kupiec — jeżeli chce, aby u niego kupowano — „wystawia“ towary swoje za oknem sklepu, a ludzie widząc, że dobre ma towary, kupują u niego i chwalą dobrego kupca.

Chcesz poznać nauczyciela dobrego, idź do szkoły i zapytaj dzieci. Jeżeli będą odpowiadały dobrze i przekonasz się, że wiele umieją, powiesz: to dobry nauczyciel.

Widzimy więc, że wartość każdego człowieka poznaje się po dziełach jego — po tem, co własną pracą wykonał.

Tak samo z narodem. Ten naród nazywamy narodem żyjącym, którego synowie i córki pracą swą przyczyniają się do bogactwa i świetności ojczyzny.

Gdzie sioła bogate, pola pięknie uprawne, gdzie miasta wielkie i zamożne, w których huk młotów i turkot maszyn miesza się z głosem nauczyciela uczącego młode pokolenie, gdzie nie widzisz żebrzących tłumów obok rozwiozłych i marnotrawnych bogaczów, gdzie lud wolny, mądry i zamożny, tam mieszka naród szczęśliwy i potężny.

Naród taki szanują obcy. Jak człowieka uczciwego, który pracą swą zdobył sobie imię i majątek — a majątku tego używa dla dobra swych braci, — wszyscy ludzie kochają i szanują, tak samo poważają i cenią narody wszystkie ten naród, który pracą swych dzieci zdobył sobie wielką potęgę i siłę, a potęgi tej i siły używa dla dobra innych narodów. Ale w jaki sposób naród taki da poznać się światu?

Różne są środki po temu.

Dobre drogi i gościnność narodowa zachęcają cudzoziemców do zwiedzania dalekich krajów.

Pożyteczne książki i pisma rozchodzą się w świat i roznoszą daleko sławę narodu.

Naród szlachetny wspiera w niedoli i nieszczęściu obce mu ludy i zyskuje tem sobie w dzięczność i uznanie.

Ale i inny jeszcze jest sposób, którym naród może się dać poznać światu.

Środkiem tym są wystawy powszechne. Już powiedzieliśmy, że kupiec albo rzemieślnik, jeżeli chce się dać poznać ludziom, — wystawia towary i owoce pracy swojej na widok publiczny.

Tak też naród — może urządzić „wystawy owoców pracy swojej.“

Na miejscu przystępnem, do którego dobre prowadzą drogi, wystawiają rolnicy, rzemieślnicy, kupcy, fabrykanci itd. każdy to, co sam wypracował, na widok publiczny:

Cudzoziemcy przyjeżdżają, oglądają wystawę i podług tego, co widzą, sądzą o narodzie.

Przypatrując się jego pracy, uczą się go szanować i cenić, jak na to zasługuje.

Jaką korzyść przynosi takie poznanie się dwóch narodów, zaraz zobaczymy.

Dwa wielkie sąsiednie sobie narody, — Francuzi i Anglicy, — żyły z sobą w wiecznej niezgodzie i walce.

Przed kilkunastu laty urządzili Anglicy pierwszą wystapowszechną w stolicy swojej, Londynie.

Francuzi odwiedzili gromadnie tę wystawę. Przekonali się, że Anglicy, o których dotąd tak źle myśleli, są narodem bardzo pożytecznym, i że się od nich wiele nauczyć można.

Zapaliła się w Francuzach chęć dorównania Anglikom.

Wzięli się więc ochoczo do pracy i w lat kilka urządzili u siebie w Paryżu wystawę powszechną, a świat przypatrując się płodom ich pracy, zdumiewał się i podziwiał ten wielki naród, który w sobie wyrobił tak wielką potęgę i stworzył wiele rzecy pożytecznych całemu światu.

Anglicy i Francuzi poznali się wzajemnie, nauczyli się szanować nawzajem, ustały ich dawne walki, a zapanowała zgoda, dla obu narodów korzystna.

Oto macie dwie wielkie korzyści z wystaw powszechnych, t. j.: pierwszą korzyść, że narody poznawają

*

się nawzajem; drugą, że narody mniej oświecone uczą się od drugich pożytecznej pracy.

Jest jeszcze wiele innych korzyści z wystaw powszechnych. Wystawcy otrzymują nagrody za przedmioty wystawiane. Sława ich rozchodzi się w kołach szerokich, przez co znajdują pokup.

Otóż nowa korzyść. Do kraju, który wystawił lepsze płody swej pracy, niż inne kraje, zjeżdżają cudzoziemcy i robią zakupna liczne.

Przestajemy na tych kilku uwagach o wystawach.

W przyszłym numerze pomówimy o wystawach krajowych.

MIKOŁAJ BUŃCZUK

Zdarzenie prawdziwe,

opowiedział **Ta. Cza.**

(Dokończenie)

Że się Bunczukowi te zamysły nie powiodły, mówić zdaje się nie potrzebujemy. Zanadto w świeżej pamięci mieszkańców Wilkowiec tkwiła dzika i nieprzyjemna postać Mikółki, kłótnią z Stefanem Łukiem ciągle go drażniono i przy lada jakiej sposobności nawet młode parobczaki, chłystki małe, wyrzucały panu byłemu kapralowi tę wielką przegraną bitwę.

To też zamiary jego spełzły na niczem, ale dumny, chciwy i chytry Buńczuk nie dał się tak łatwo od raz powziętego celu odstraszyć. Chciał dopiąć najwyższego zaszczytu, jakim gromada wzorowego gospodarza obdarzyć może, postanowił to i przysiągł sobie, jakim bądź sposobem dojść do tego koniecznie. Skończyła się ta cała historya na tem, że tylko kilku niebardzo sumiennych a podobno miękkiego serca i słabej głowy gospodarzy, dało swe za nim głosy.

Buńczuk udawał, że nic nie wie o tem, że się tylko przypadkiem dowiedział o wyborach, chociaż niepomyślnych, ale w duchu u siebie klął na czem świat stoi, że go nie wybrano; biedna żona i stary ojczysko — matka już nie żyła — nasłuchali się jego przekleństw i złorzeczeń do syta.

— Ustąpiłem, — mówił do siebie — ale ustąpiłem tylko na chwilę, czekajcie ja was jeszcze wszystkich w pole wywiodę, i radnym i wójtem, a jak zechcę to i posłem zostanę, tak będziecie tańczyć, jak wam zaśpiewam! Wy mnie z młodu dzikim nazywali, stroniliście odemnie, czekajcie! przyjść może czas, kiedy wy do mnie uśmiechać się będziecie, a ja was z nienacka podejdę i tak was wszystkich przewyższę i tak was przerosnę, jak krzyż cerkiewny najwyższą topolę.

Postanowił więc teraz odmienniej działać.

I co też zrobił takiego pan Mikołaj Buńczuk, że w przeciągu dwu lub trzech lat gromada przyzwyczaiła się do niego, a rok za rokiem zaczęła nawet darzyć go łaskawie dobrem słowem, życzliwem spojrzeniem i łagodnem uśmiechem. O! dali się podejść chytremu Buńczukowi. Jak bo też on umiał. w cerkwi modlić się przykładnie, pracować na polu skrzętnie i cicho, do karczmy, zda się, nie znał nawet drogi, słowem najpoczciwszy kmieć, człowiek jakich mało, lecz to był tylko fałsz, fałsz, udanie które znało dwoje ludzi, żona i ojciec. Biedna żona, sługa i najemnica tego chytrego człowieka, nie śmiała i lękała się zwierzyć komu serdecznie, a stary przygnieciony tem ciężkiem brzemieniem losu, milczał i tylko wzdychał żałośnie i ciężko.

Przyszła drugi raz kolej wyborów. Wszystkie głosy padły na Buńczuka, gromada tak mu uwierzyła iż wybrała go do koła radnych, a ci zrobili go wójtem. Podniósł już wyżej głowę pan Mikołaj Buńczuk, poufalił się więcej z profesorem, a więcej szorstko odpowiadał tym biedniejszym, których niedawno słodko sam pierwszy zagadywał.

— Zrobiliście mnie wójtem, zrobicie jeszcze czemś więcej.

Tu zaś w miarę zaszczytów, wyrastała jeszcze inna żyłka, chciwość do pieniędzy. Chciwym, niezmiernie chciwym był pan Mikołaj Buńczuk, a chociaż sam miał dobry mająteczek, chciał go jak najrychlej jakim bądź sposobem pomnożyć.

Drugiego więc roku swego wójtostwa, kiedy rozeszła się wieść, a nareszcie i pismo urzędowe uwiadomiło o zbliżających się wyborach, pan Mikołaj zwołał całą gromadę i w długiej

a chytrze ułożonej mowie pierwszy raz podniósł głos przeciw dworowi, mówiąc dobitnie a śmiało: patrzcie tam utonęły nasze lasy i pastwiska!

Otóż i wylazło szydło z wora! A więc widzicie, że w tę strunę uderzył poczciwy pan Mikołaj Bunczuk, w strunę, której dotąd dla zacnych i dobrych państwa, dla świętego spokoju, poszanowania cudzej własności i praw, w Wilkowcach nikt nawet nie tknął.

Pierwszy pan Mikołaj Buńczuk ośmielił się coś podobnego zrobić.

Mało nie omdlał z przestrachu biedny proboszcz, gdy o tej wiadomości usłyszał, począł się trwożyć o swoją owczarnię i rzeczywiście miał przyczynę.

W wiosce działy się niepojęte rzeczy. Gospodarze naradzali się między sobą po całych dniach w karczmie, nie pomnąc, że św. Bartłomiej za progiem, a żyto siać trzeba, parobcy tem próżnowaniem starych ośmieleni, snuli się po wiosce, dziewczęta zaś wyglądały z okienek chaty, czekając ciekawie końca tej całej sprawy. Już nawet krzyki pijących za zdrowie p. Mikołaja i na pomyślność podjętej sprawy poczęły się odzywać, słowem w gromadę jakby kto djabła prost z piekła wypuścił w sam jej środek.

Kłaniano się wtedy co raz niżej panu Mikołajowi, a pan Mikołaj podnosił za to coraz bardziej głowę do góry; raz nawet zdybawszy proboszcza, nie uznał za potrzebne uchylić przed nim czapki. Wtedy to, a było to prawie trzy tygodnie, przed wyborami, wybrał się pan Mikołaj Buńczuk w podróż po całym powiecie, chcąc jak to mówił, „agitować“ czyli mówiąc pd prostu pojechał obałamucać naród.

Zaraz w pierwszej wsi stanął pan Mikołaj Buńczuk obozem, a przedstawiwszy się gromadzie jako „kandydat“ (czyli zdolny na posła) rozpoczął obałamucać ludzi, wystawiając im jakieś lasy, z których krzaka nikt nigdy nie widział i pastwiska, na których nawet gęś trawki nie uskubnęła. I tak od wsi do wsi jeździł pan Mikołaj, wszędzie jednakowo a śmiało rozprawiając.

— Posłuchajcie tylko mnie Szanowni gospodarze, — mó-

wił on, — odbierzmy to co nasze, na co pan ma mieć, a my nie! Widzicie, ja człowiek bywały, nie z jednego pieca chleb jadłem, ja wam oddam, ale wy musicie mnie swoim zastępcą zrobić, musicie mnie posłem wybrać, wtedy pojadę do cesarza, tam mu do nóg padnę i naszą podam prośbę. Więc wszyscy, choćby znakiem krzyża podpisujcie te arkusze a każdy na koszta niech da po dziesięć grajcarów od głowy, a zato będziecie mieli i lasy, i pastwiska, i drzewo, i paszę, a panom od naszego za się!

Nareszcie, kiedy nie tylko pierwszy lepszy ale i wszyscy, cały powiat prawie, dawszy się obałamucić, napełnił kieszeń pana wójta Wilkowiec, ten z pełną kiesą, a dumny, wracał do swojej wsi. Tu gospodarze, słysząc jak to się jemu dobrze powodzi, i jaki on to honor robi gromadzie, co ma takiego wójta, przyjęli go w karczmie, niby na ucztę go zapraszając.

Skorzystał na tem najlepiej Szaja, gdyż nicponie i próżniaki, nie robiąc teraz nic i spuszczając się na jakieś lasy i pastwiska, a chcąc pić, co najlepszego z dobytku pozastawiali, a tak woły, krowy, drób itp. przeszły w garnce, kwarty i kieliszki.

Próżno ksiądz proboszcz wzywał gromadę do pracy i porządku, zły duch ją wyraźnie opętał, a zamiast do cerkwi, już prawie połowa ciągnęła do karczmy.

Nadszedł nareszcie dzień wyborów. Pana Mikołaja już we wsi nie było; uwijał się po miasteczku z pisarzami pokątnymi, z diakami bez służby i z tem śmieciem miastowem, co się to zawsze człowiekowi w mieście natrąca, a które tylko panu Mikołajowi mogło być potrzebne.

I księżom, i gospodarzom, nawet i babom i parobkom kłania się pan Mikołaj, tego za rękę ściśnie, tamtego nazwie kumem, choć mu nigdy do chrztu nie trzymał, z trzecim się poswatał, a innym bardzo wielu zapłaci po jednym i drugim półkwaterku. I czy uwierzycie — kręcił, kręcił i wykręcił sobie poselstwo; wprawdzie zgłosili się tam do protokołu o wyraźne przekupstwo i inne jakieś tam nieczyste sprawy — dość że pan Mikołaj dopiął swego i został posłem.

Gdybyście tylko widzieć mogli, z jaką to twarzą wjeż-

dżał do wsi!... sam Monarcha po konoracyi tak się na swoich pewno nie popatrzył.

— Teraz — myślał — dopiero was za łeb wezmę, zobaczycie chamy, co mogę.

Wjeżdża do sioła, stoją gospodarze, parobki i dziewczęta, a czekają na wójta, bo czekać na siebie rozkazał.

— Jak się macie! — krzyknął nowy pan poseł, — czegóż się nie cieszycie i stoicie jak cielęta!

Poruszyli się na te słowa gospodarze, wtém z grona parobczaków występuje jakiś dzielny chłopak w sukmanie i rzecze:

— Pytasz się panie Mikółka, czego stoimy jak cielęta, nie dziwcie się, bośmy zobaczyli najstarszego woła!

— Co?! co?! coś ty za jeden?

— Nie poznajecie mnie? to ja ten sam, co to pod wrotami.....

— Stefan Łuk?! — krzyknął Buńczuk.

— Ten sam do usług pana posła....

— Ja cię każę szupasem odesłać, ty włóczęgo!

— Ej zwolna panie pośle... zwolna, tylko grzecznie, bo ja tam bardzo na godność nie zważam!

— Ty mi śmiesz grozić? w jaki ty sposób do mnie przemawiasz? kapelusz na głowie?...

— O panie pośle! wy mnie w tém siole witacie, więc powinniście wasze czółenko zdjąć z głowy — to mówiąc zrzucił Stefan Buńczukowi jego szwabską czapkę...

— Podejm włóczęgo!

— Patrzcie tu w moje papiery, a przekonacie się czym włóczęga, a czapkę możecie sobie podnieść sami ...

— Co? ty sierżantem?... a przepraszam, przepraszam... dwa medale.... przepraszam, przepraszam...

— Widzicie więc panie Buńczuku, czem jestem, a teraz pozwolicie, że wam już drugi raz muszę ostrą prawdę powiedzieć, a zarazem całej gromadzie otworzyć oczy. Głupia gromada, co się wam daje oszukiwać; czy to wy może poczciwi, czy pracowici? — to wszystko udane zmyślone, tak jak we wszystkich sprawach waszych prawdy nie ma; wyłudziliście

grosze — na co? oto, żeby wpłynęły do waszej kieszeni, ci co was wybrali, byli odurzeni gorzałką, przekupieni, mówię to wam śmiało, aby się cała gromada przekonała, jaki ją obałamucił człowiek, wy zburzyliście spokój wioski, postawić chcieliście mur między poczciwym panem a ludźmi, to podle, — a człowiek który się tego dopuszcza, jest bez Boga, sumienia, wiary, — podły!

Nie mógł i słowa na to powiedzieć pan Buńczuk; zdawało mu się, że piekło roztwiera się pod jego nogami, pierwszy raz zbudzone sumienie poczęło go trapić, a nie wiedząc co z sobą począć, nasunął czapkę na głowę i szybko uciekał do domu.

— Patrzcie! — mówił Stefan, — to człowiek, któremu zaufaliście! Powiedziałem wam i jemu prawdę, bo miałem prawo, jako syn tej wioski, któremu dobro jej bardzo na sercu leży. Widzicie jak ucieka, tak on myśli, że za nim goni sumienie, złe duchy... czegoż tu stoicie? dajcie sierp, rydel lub cep do ręki, mnie praca nie obcą, ale wy się od niej nie macie prawa odzwyczajać! Tam u obcych ludzi przekonałem się, że pełne złota kieszenie w obcym kraju, więcej ciężą i trudzą, niż praca na własnym zagonie.

Mądre słowo Stefana trafiło do przekonania obecnych, cicho rozmyślając nad mową Łuka rozeszli się do domu, by powrócić do prac i zatrudnień codziennych.

Buńczuk zabiegł wściekły do swojej chaty.

Patrzy, a tam na stogu stoi stary ojciec i poprawia zaniedbane przez syna snopy, co się już psuły.

— Wy tam po co stary? — zapytał Buńczuk ojca.

— Nie pilnujesz synu gospodarstwa, choć stary muszę tak ciężko pracować....

— Wyby może darmo chleb jedli... ej, stary, wypędzę z chaty!...

— Synu! synu! co mówisz, nie boisz się Boga?...

— A niech on was tam pilnuje na górze i pomoże zleść na ziemię, ja drabiny nie dam, skaczcie tatuniu...

Synu! co robisz? Boże? co ci jest?

Co? mnie ludzie dręczą... ja was dręczyć będę... cha.. cha!

I śmiał się tak długo, a poderwawszy drabinę uciekał z toku.

Stary począł wołać o pomoc. Sąsiedzi zbiegli się na ratunek, podali drabinę, nie mając dość słów oburzenia dla nieludzkiego i bezbożnego dziecka.

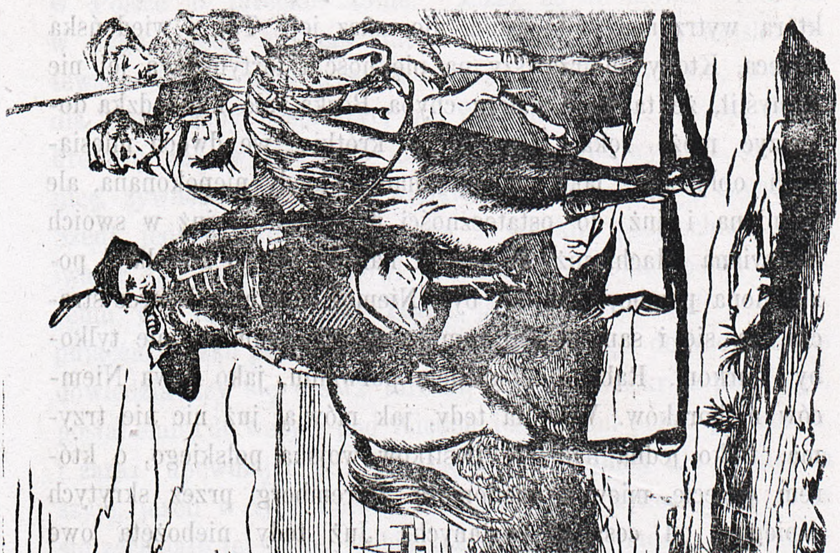
Pan poseł siedział, a raczei jakby czemś przytłoczony leżał na łóżku w komorze. Tak przesiedział noc całą. Ze świtem zaprzągł konie i jechał do miasta. W tém nad parowem zamyślony Buńczuk wypuścił konie nie uważając, jak nad samym brzegiem pędziły. Jakby ze złości zaciął je silnie; te skoczyły w bok, i wóz stoczywszy się w parów, zniknął w głębokich zaroślach. Na drugi dzień znaleziono Buńczuka zgniecionego i zmienionego do niepoznania.

Tak widzicie zginął ten, który najwyższych dla wieśniaka dostąpił godności, ale tylko przez łatwowierność i niemoc gromady Ta dostała dobrą nauką i wybrała pewno Stefana na wójta Takich naczelników wszystkim gromadom życzymy, niech się jednak nie dadzą zwodzić takim Buńczukom!!!

Powitanie Sobieskiego przez cesarza Leopolda.

Wiedeń w r. 1663 w wielkim od Turków był ucisku, wojska cesarskie już go odstąpiły, nie mogąc wytrzymać, bo zaraz w pierwszej potyczce Niemców nacięto, nabrano i z pola zegnano. Wiedeń atakowano, dziury w murach porobiono, szańce minami porozrywano, miny pod miejskie bramy pozaprowadzano, że już Wiedeń ledwie oddychał; właśnie kiedy owo mocny słabego nasiędzie, i za gardło ściśnie, już ów nie myśli, żeby mu się wydarł, ale tylko, żeby u niego wyprosił miłosierdzia. Była prawda w Wieduiu załoga wielka, komendant dobry, armaty i prochów dostatku. żywności też dosyć. Ale cóż, kiedy to przeciw teraźniejszym wynalazkom dobywania twierdz, już nie masz i jednej pod słońcem fortecy, żeby własnem męztwem wytrzymać mogła. Insza to bywało

owych lat, że kamykami, a oszczepami do siebie ciskali; a insza teraz, kiedy to granaty, bomby i kartacze wypuszczą, kiedy z okrutnych kartanów kule jak cebry wylecą, kiedy uczynią dészcz ognisty i przez łosią skórę i przez wszystkie



ubiory ciało aż do kości przenikające, i jak świderkiem wiercące; kiedy na ostatek rozumiesz, że bezpiecznie stoisz na ziemi od Boga i natury mocno ugruntowanej, a nie wiesz, co się pod tobą dzieje, że w tej minucie, i z miejscem, na którém stoisz, i z domami, z kamienicami potężnie wymurowa-

nemi, jak mucha wylecisz z dymem pod obłoki. Już teraz forteca na to potrzebna, żeby furman nie wyjechał przededniem z miasta, w gospodzie nie zapłaciwszy siana, albo, żeby pana burmistrza nie porwał spiącego; ale, żeby miała która wytrzymać dobywanie, nie masz jej. Tak i wiedeńska forteca. Ktoby spojrzawszy na piękność i fortyfikacyą jej nie pomyślił, że takiemu dziełu chyba Boska, ale nie ludzka dokuczyć może ręka. Oto przez krótkie we dwóch miesiącach oblężenie, jaką poniosła hańbę, kiedy niepokonana, ale ściśniona i już do ostateczności przychodząc, już w swoich zachwiana siłach, już od pana i narodu swego wszelkiej pozbawiona pomocy: bo tak byli Niemcy zhukani, i serce stracili, że się i samym Tatarom założyć nie umieli, nie tylkoby Turkom. Rąbano w każdém porwaniu, jako drwa Niemców nieboraków. Wiednia tedy, jak mówią, już nic nie trzyma, tylko jedna nadzieja posiłków wojska polskiego, o którém przecie miewał wiadomość Staremberg przez skrytych szpiegów, od cesarza posłanych. Już tedy nieborzęta owe dziury powybijane i prochami powyrzucane, piersiami tylko swemi zasłaniali, a poddanie odwłóczyli ode dnia do dnia, już dawno postanowione. Wiedzieli i Turcy, że Polacy idą na pomoc, albo raczej na odsiecz, ale temu nie wierzyli, żeby sam król w osobie, żeby całe wojsko, ale sądzili, że pewna część wojska, dlatego sobie powoli poczynali, i nie zbyt spieszyli z wzięciem tej fortecy, mniej się obawiając tych posiłków i biorąc miarę: „jeżeli tak wielkie wojska jak niemieckie pierwszego zaraz natarcia wytrzymać nam nie mogły i teraz w oczy zajrzeć nie śmieją, choć im o stolicę państwa ich chodzi, choć przy swoich śmieciach, pewnie i ta mała garść polskiego wojska nie zwojuje nas.“ Już tam był u cesarza Lubomirski z tymi Polakami, których za cesarskie pieniądze zaciągniono, i dobrze tam stawali. A po staremu, Niemcy dawali im dobre słowa, ale się to działo dobrym wodzem. Kiedy tedy król wybierał się na tę wyprawę, była ochota we wszystkich ludziach taka, że dusznoby było i ptakiem jako najprędzej przylecieć. A znak to już był przyszłej fortuny. Nawet sam król z taką jechał wiarą, jak po pewne

i nieomylne zwycięztwo. W ten dzień, kiedy już miał z Krakowa wsiadać na koń, słyszano z ust jego słowa: „Boga proszę, żebym ich tam tylko zastał, niech nie trudno będzie w Polsce o tureckie konie.“ Znać, że to mówił z ufności w Bogu, kiedy się tak stało. Oczekiwał król na wojsko litewskie długo, a tu lecą od cesarza poseł za posłem, prosząc dla Boga, żeby pośpieszyć, bo Wiedeń ginie. Poszedł król, królowę zaś w Krakowie osadził. Jak król wyszedł za granicę, żywności na wojsko wielkie dawano i wygody czyniono. Szedł jednak król z wojskiem z wielkim pośpiechem, obawiając się, żeby Wiedniowi nie była po wojnie pomoc, któremu też już natenczas Turcy, jak się dowiedzieli o następującém blizko polskiem wojsku, mocno poczęli dogrzewać. Bo dowiedziawszy się cesarz turecki, o wymarszu króla polskiego, posłał emira do wezyra pod Wiedeń, i zaraz mu posłał postronek, i zaraz upewniając go: „że cię ten postronek nie minie na szyję, jeżeli w tych dniach Wiednia nie weźmiesz; bo tobie się zachciało tej wojny, tobie też za to odpowiadać, jeżeli niepomyślnie pójdzie.“ Toż Janczarów przekupował, poił, żeby odważnie stawali; niewolników przodem przed Janczarami gnał do szturmów; sam jak wściekły latał. Ten postronek włożywszy sobie na szyję, zaklinał, prosił przez wielkiego proroka Mahometa, aby pamiętali na sławę niezwyciężonego narodu swego, aby pomnieli na jego zgubę, której nie minie przez ten powróz, który na szyi nosi, jeżeli Wiednia nie dostanie. To te pogaństwo oślep na ogień lazło, a jak snopy padało. Kiedy już król z wojskiem szedł do Tulna, wtenczas oni najpotężniejsze szturmy czynili. Nawet choć już stanęło wojsko, już się pułki nasze zwierały, przecie on Janczarom szturmu poprzestać nie kazał, a konne wojsko Sipahlerów (Szpalierów), Tatarów na nas obrócił. Uderzyli się Tatarowie raz i drugi o naszych, potem stanęli sobie osobno. Posyła po hana i pyta go: „Cóż ty rozumiesz, jeżeli tu jest król polski?“ Han powiedział: „I rozumiem, i widzę, że jest; bo kiedy są ci drążnicy, to i król musi być.“ Rzecze wezyr: „Radź o mnie!“ Han odpowiedział: „Radź ty sam o sobie, a ja też o sobie; wszak ja tobie dawno radził, żeby było

dawno odstąpić od Wiednia, nie czekając Polaków.“ Skoczywszy od wezyra do swoich: „Allah, allah!“ Zaraz jak piłką rzucił poszli Tatarowie; Turcy też poczęli słabieć, a a potem w nogi.

(Dokoń. nastąpi.)

Gospodarstwo wiejskie.

O budynkach. Na początku mieszkali ludzie w jaskiniach i w lochach podziemnych, potem w szopach i pod namiotami, następnie w domach drewnianych, i nakoniec, chociaż jeszcze nie wszyscy, mieszkają już w domach murowanych z kamienia albo z cegły. W Polsce dopiero za Kazimierza Wielkiego, a więc jest temu już lat pół tysiąca, zaczęto stawiać domy murowane; przed tym czasem praojcowie nasi mieszkali w domach drewnianych, mchem pootykanych słomą albo trzciną przykrytych, bez kominów i pieców, tylko była w środku kotlina, na której ogień palono i jeść gotowano. Jeszcze dotąd są takie domy w naszej biednej Polsce; ale, dzięki Bogu, coraz to ich mniej. Przed wiekami nie mogło być inaczej, bo ludzie powoli i stopniowo do doskonałości przychodzą; naszym praojcom ani śniło się, żeby w domu kamiennym lub ceglanym mieszkać można było, tak jak ojcom naszym nie śniło się także, ażeby bez koni lub wołów, ale jakąś tam parą jeździć po kolei żelaznej, że ich synowie i listy telegrafem po żelaznym drucie pisywać będą. Dotąd są ludzie tak w przesądach zajęci, którzy utrzymują, że dom drewniany do mieszkania najzdrowszy. Jest to bajka wierutna; dom drewniany owszem ma wszystkie niedogodności, których człowiek rozumny unikać powinien. Dom drewniany jest wątły, podpada łatwo zgniliźnie i jest gniazdem nieprzeliczonego robactwa; człowiek dusi się w nim jak w zanieczyszczonem powietrzu i przerozmaitym podpada chorobom; dom drewniany prędko się psuje, krzywi, rozwala i niszczy, prędzej jeszcze niknie z dymem pożaru, a kosztuje tyle i więcej nawet, co kamienny albo ceglany, które tych wszystkich przywar nie mają. Gdzie jest kamień i wapno, tam nic łatwiej-

szego jak dom zdrowy, i piękny na długie wieki prędko i tanio wystawić. Gdzie nie ma kamienia a jest glina, a glina bliżej albo troche dalej jest wszędzie, to trzeba dom ceglany budować, który pod wszelkiemi względami nie tylko od drewnianego, ale i od kamiennego jest lepszy. Nic zaś znowu łatwiejszego, jak samemu cegłę wyrobić i wypalić, i to zaledwo trzecią lub czwartą częścią drzewa tego, które do zbudowania domu potrzebne, a nawet i to drzewo oszczędzać jeszcze można, bo cegła wypala się byle chwastem, krzakami, ostami, trzciną, słomą i to równie dobrze jak drzewem lub ziemnemi węglami. Niechże więc gospodarz ze swą rodziną i czeladką tylko przez lat parę, ten czas w którym w polu i w domu do roboty nic niéma, obróci na wyrobienie i potem wypalanie cegły, a będzie jej miał podostatkiem do wystawienia najpiękniejszego, najwygodniejszego, najzdrowszego, najbezpieczniejszego i najtrwalszego domostwa. Każdy wie, jak się cegła z gliny wyrabia i wysusza, a jeżeli o wypalenie jej idzie, to jak powiadam, lada chwastem wypalić ją można, — i w piecu od chleba, i w piecu do suszenia lnu, i nareszcie, co najlepsze i najłatwiejsze, tak zupełnie jak węglarz wypala z drzewa węgle, tylko rozumie się, że tam samo drzewo się pali, a tu trzeba drzewa, krzaków, chwastów, trzciny, słomy, czyli byle czego, co się pali, i glinę na cegłę, wypala podłożyć i dokładać do czeluści, ułożywszy tak cegły, żeby płomień i gorąco szło wszędzie i ciąg był do wylotu.

Podwórko i zabudowanie zagrody wiejskiej tak urządzone być winno, żeby gospodarz stanąwszy w środku podwórka, wszystko miał naokoło siebie i wszystko mógł wziąć na oko. W około więc podwórka wystawione być powinny: dom mieszkalny od drogi, lub ulicy, a po bokach i naprzeciw w odstępach i poprzedzielane drzewami dla zabezpieczenia się w przypadku ognia, obora ze stajnią i owczarnią, chlewy i kurniki, stodoła, szopa, wozownia i reszta budynków. Podwórko powinno być wybrukowane, żeby można sucho chodzić do stajni, obory, chlewów, stodoły i tam dalej, i żeby je łatwiej utrzymać w czystości. Gnój starannie z podwórka zbierać potrzeba i składać go na miejsce ku temu przeznaczone, a o ile

można takie, żeby smrodliwe wyziewy ani do domu mieszkalnego, ani do obór i chlewów nie dolatywały, bo ztąd powstają choroby ludzi i zwierząt. W tym celu, na uboczu w podwórku należy urządzić dół, czyli gnojownicę ocembrowaną kamieniami albo cegłą wypaloną, do którejby wszystkie odchody spływały, i do której wrzuca się wszystko, co gnije, czyli na gnój lub nawoz się przerabia. Żeby słońce gnojowicy nie wysuszało, trzeba ją obsadzić drzewami, które w sąsiedztwie gnoju prędko i bujnie wyrosną, dla bydła miły podczas upałów chłód dadzą, podwórko przyozdobią, i na opał lub porządek domowy przydatne z czasem będą.

Studnia lub pompa w każdem gospodarstwie wiejskiem jest niezbędnie potrzebna, dla ludzi, zwierząt, roślin i ognia. Każdy więc gospodarz starać się powinien mieć ją pod ręką. Studnia wycembrowana kamieniami daleko smaczniejszą i zdrowszą wodę daje, od studni wyłożonej drzewem, które ciągle pleśnieje i gnije. Wszelka pompa lepsza od studni, bo powietrze przystępu do niej nie ma, i wody nie psuje. Zresztą i dobywanie wody z pompy daleko łatwiejsze i prędsze aniżeli ze studni.

W zakończeniu dodać należy, iż gospodarz codzień powinien obejrzeć całą swoją zagrodę, czy czego naprawić natychmiast nie powinien, tak w dachu, strzechach, ścianach jak płotach. Mały szwank łatwo usunąć można, ale zaniedbany wielkie szkody sprowadza. Przytem, pod noc, zawsze dopatrzyć, czy wszystkie źwierzęta domowe są na swojem miejscu, i czy wszystko dobrze zamknięte, a gdy każdy już w domu do spoczynku się ułoży, psa czujnego jako wiernego stróża spuścić z uwięzi, ażeby złodzieja swem szczekaniem odgonił i gospodarza przebudził, ku pomocy go wzywając.

Od redakcyi.

W W. Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franc. Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 tal. 15 sgr., półrocznie 23 sgr., kwartalnie 13 sgr.

Redaktor i wydaw. odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni Karola Budweisera